

OLIWIA KLIMA

UCZENNICA KL.V

ZSM NR 2 W KĘDZIERZYNIE - KOZŁU

UL. SZYMANOWSKIEGO 19

TEL.482 36 72

"Kilka dni z życia jeźdźca"

1 kwietnia 2016, piątek

Popołudnie nie zapowiadało się ciekawie. Znów dostałam gorszą ocenę z matematyki, a poza tym nie miałam dziś humoru. Wracałam właśnie ze szkoły, mijając już domy sąsiadów. Słońce nieśmiało wychodziło zza chmur, ale ja wcale o tym nie myślałam. Wiedziałam, że jutrzejszy dzień będzie dla mnie bardzo ważny. Denerwowałam się? Może troszkę, ale byłam już przyzwyczajona do takich sytuacji. Nawet nie zauważyłam, kiedy minęłam furtkę mojego domu. Kiedy sobie to uświadomiłam, cofnęłam się kilka kroków. Po chwili wchodziłam już po betonowych schodach. Przywitałam się z mamą, która właśnie gotowała obiad i położyłam plecak obok szafy. Chciałam wyjść na dwór z moim psem, ale okazało się, że śpi. To nawet lepiej, bo byłam strasznie zmęczona. Ucieszył mnie więc fakt, że ktoś zapukał w drzwi. Podbiegłam do nich, przekręciłam srebrny klucz w zamku i nacisnęłam klamkę. Przed drzwiami stała babcia. Pocałowałam babcię w pulchne policzki i zaprosiłam ją do środka. Zdjęła buty i kurtkę, którą zawiesiłam na wieszaku. Poprosiła o kubek kawy, więc zaraz udałam się do kuchni. Babcia spytała się, kiedy mogłabym pojechać do stajni. Na te słowa uśmiechnęłam się i zamyśliłam. Chyba jednak nie uda mi się dziś tam pojechać, ponieważ instruktorki muszą wszystko przygotować na jutrzejsze zawody. Trochę mnie zasmuciło to, że nie będzie żadnej próby generalnej. Przećwiczę więc kilka razy na dworze, bez konia. Może mi to wystarczy. Podałam babci kawę i pobiegłam do swojego pokoju. Z szuflady wyciągnęłam rozjazd. Tylko zaciekawiło mnie jedno. Wiedziałam, że moja mama też jeździła konno, ale czy brała udział w zawodach? To podobno tradycja w naszej rodzinie, choć wiedziałam, że tylko mama jeździła. Postanowiłam się więc zapytać:

- Mamo, a czy ty też kiedyś jeździłaś na zawody? - zadałam pytanie i niepewnie spojrzałam na mamę.

- Nie, ledwo co kłusowałam. - zaśmiała się ciepło. Hmm...czyli jednak nie po niej odziedziczyłam pasję do jazdy konnej. Mało co wiedziała o tańcu z koniem, zwanym wśród jeźdźców ujeżdżeniem. Bez słowa spojrzałam raz jeszcze na rozjazd. Wymknęłam się na podwórko, gdzie swobodnie mogłam ćwiczyć. Było jeszcze bardzo ciepło, choć zbliżała się szesnasta. Zielona trawa w bezruchu oczekiwała na wiatr, który nie zjawiał się tego dnia dość często. Tylko od czasu do czasu można było poczuć leciutki podmuch. Było dość duszno i sucho, choć wczoraj rano padał deszcz. Wyobraziłam sobie piaszczysty czworobok, plac, na którym startuje się w tego typu zawodach oraz mojego ulubionego konia. Kilka razy musiałam 'przejechać' plan i powtórzyłam go jeszcze na głos. Po kilku takich próbach byłam już całkowicie przekonana o tym, że znam na pamięć cały plan. Teraz najchętniej poszłabym na obiad, jednak zaskoczyła mnie moja młodsza siostra z kocem i dwoma talerzami pełnymi makaronu z sosem bolońskim. Rozłożyła wszystko na trawie i podała mi parę sztuczków. Zjadłyśmy wszystko ze smakiem. Posiedziałyśmy jeszcze chwilę na kocu, rozglądając się dookoła. Nagle podbiegło do nas coś puchatego i dwukolorowego. Okazało się, że mama wypuściła do nas Aurę. Szczeniak domagał się głaskania, skakał na nas do czasu, kiedy zobaczył kota. Aura uwielbia naszego kota, ale kotek chyba nie odwzajemnia tych uczuć, bo zazwyczaj atakuje psa. Sunia w szaleńczym pędzie pognała w stronę kotki. Przerażona kicia zaczęła uciekać, jednak nie udało jej się i została przewrócona przez merdającą biało - czarnym ogonkiem Aurę. Zaśmiałam się, zawołałam psa. Usiadła sobie obok nas i na przemian podawała łapy. Zaraz musiałyśmy iść na spacer, aby pies mógł się wybiegać. Posprzątałyśmy więc wszystko i zaniostłyśmy do domu. Mama pozwoliła nam iść na pole. Nie znajdowało się daleko, to kilka kroków przez ulicę. Dopiero tam można było poczuć wiatr. Wzdłuż ścieżki zasiane były zielonkawe rośliny, a sucha polna trawa ugięła się pod naszymi nogami. Suczka wachała każdy zakamarek i przez to musiałyśmy się często zatrzymywać. Po jakimś czasie zrobiło się ciemno i musiałyśmy wracać. Przypięłam smycz do obroży luzem biegnącej przy mojej nodze Aurze. Zawróciłyśmy i leniwie powlekłyśmy się już w stronę domu.

2 kwietnia 2016, sobota

Dzisiejszy dzień zaczęłam w pośpiechu. Do stajni jechało się nieco dłużej niż trzydzieści minut, konia przygotowywało się około pełnej godziny i jeszcze trzeba było zaprowadzić go do ujeżdżalni na wzgórzu, oddalonego od stajni o dwieście metrów. Do tego czekała nas mała rozgrzewka, żeby koń nie nabawił się kontuzji. Więc o piątej byłam już na nogach. Zjadłam porządne śniadanie i cichutko przebrałam się już w strój na zawody. Z moich długich i jasnych jak pszenica włosów zrobiłam kok, który musiałam włożyć w ozdobną siateczkę. Układanie włosów na ważne uroczystości zawsze zajmowało mi najwięcej czasu! Wreszcie zapakowałam wszystkie końskie szczotki, mój biały czaprak pod siodło i toczek. Spojrzałam w lustro-

wyglądałam elegancko i schludnie. Ubrałam białą koszulę konkursową z kołnierzykiem, frak, białe bryczesy - spodnie do jazdy konnej oraz białe rękawiczki. Na nogi włożyłam moje eleganckie, zapinane na zamek i ozdobnie wiązane czarne oficerki. Czekałam na babcię, która zawsze odwoziła mnie do stajni. Tak, ona ma samochód i prawo jazdy, jest dość nowoczesną babcią. Zawsze podzielała moją pasję i mówi, że gdyby była szczuplejsza i młodsza, to wsiadłaby na konia. Po chwili srebrny samochód zjechał na pobocze. Wybiegłam w stronę auta, uważając, aby nie pobrudzić fraku i butów. Zamknęłam drzwi, witając babcię z uśmiechem. Jak zwykle słuchała na płytach starych przebojów swojej młodości. Zdażyłam się już do nich przyzwyczaić, ale muszę przyznać, że niektóre całkiem wpadają w ucho. W miasteczku był teraz niewielki ruch ,dlatego po kilkunastu minutach byliśmy już na wsi. Moi rodzice też mieli przyjechać z siostrą i kibicować mi podczas przejazdu ,ale dopiero o ósmej. Wreszcie dotarliśmy na dolną część stadniny, czyli do starych stajni. Było to magiczne miejsce, które wiele pamiętało. Kiedy tylko babcia zaparkowała na trawniku, wzięłam torbę i popędziłam do stajni. Konie akurat kończyły jeść. Kilka dziewczyn przygotowywało już swoje konie do zawodów. Moja ulubiona klacz stała spokojnie w boksie. Omega jest już dwudziestoletnią, gniadą, nierasową klaczą. Ze względu na wiek nie jeździ już na niej wielu jeźdźców. Oprócz mnie jest jeszcze jedna, nieco starsza dziewczyna i druga, która tylko uczy się na Omedze. Wyprowadziłam klacz i przypięłam na dwie wolne linki. Zaczęłam czyścić ją od szyi do zadu, babcia zajęła się grzywą i ogonem. Najpierw umyła jej włosy wodą, rozczesała i zaplotła koreczki. Pozostało wyczyścić kopyta i można siodłać konia. Omega wyrywała mi z rąk tylne nogi, ale na wszystko jest sposób. Udało mi się przekonać klacz do podania mi nóg. Zdjęłam z jej głowy czerwony kantar, wodze zarzuciłam na szyję i włożyłam uzdę. Pozapinałam wszystkie paski: podgardle, nachrapnik oraz skośnik. Teraz czas na siodło. Najpierw piękny, biały czaprak, miękka podkładka oraz samo siodło. Zapięłam ciasno gruby pasek znajdujący się na brzuchu konia - popręg. Wszystko było dopięte na ostatni guzik, mogliśmy więc wyruszać w stronę miejsca zwanego rozprężalnią. Tam konie ćwiczą przed zawodami. Droga wydawała się monotonna i długa , a że była pod górkę, to do tego męcząca. Błoto pobrudziło moje podeszwy, jak i kopyta konia. Po kilkunastu minutach dotarliśmy na górę. Miałam pół godziny, aby dobrze się rozgrzać. Sprawdziłam, czy aby popręg nie jest zbyt luźny i włożyłam stopę w strzemiono. Podciągnęłam się do góry trzymając się siodła, przełożyłam drugą nogę nad koniem i usiadłam na grzbiecie zwierzęcia . Skierowałam konia w stronę prawego strzemienia. Ruszyłam stępem. Babcia poszła na trybuny i obserwowała przejazdy innych koni. Pani instruktor kazała mi wolno jechać stępem. Skupiałam się na rozprężeniu, nie myśląc zbyt o planie. Przecież wszystko przypomni mi się na czworoboku...a może jednak nie? Zanim zdażyłam sobie przypomnieć rozjazd, musiałam już przyspieszyć konia i kręcić koła, aby powyginać klacz w obie strony. Nie mogłam przejeżdżać obok strasznych drzwi, których Omega tak bardzo się bała - uciekała od nich wyrywając mi wodze z rąk. Konie są trochę nieprzewidywalne... Uderzyłam lekko jej łopatkę batem, by przyspieszyła do galopu. Nie byliśmy na rozprężalni same, więc musiałam omijać sporą grupkę koni, które zebrały się w jednym miejscu. Zatrzymałam się na chwilę, by przeczytać listę kolejności w zawodach. Właśnie wjechał siwy arab - Poprad, za chwilę jeszcze fiord - Torres i czas na nas. W ostatniej chwili przypomniałam sobie cały przejazd i zanim zdażyłam zrobić to drugi raz, męski głos wyczytał

przez głośniki moje imię i nazwisko. Przyspieszyłam do klusa. W pewnym momencie usłyszałam dzwonek, który oznaczał, że mam rozpocząć przejazd. Samo w sobie trwało to dość długo - sześć minut, do tego Omega nie była najszybszym koniem... W mniej więcej połowie przejazdu przestraszyła się nagłego huku z boku ujeżdżalni. Okazało się, że na dworze rozgrywano właśnie mecz polo i kula uderzyła w ścianę. Mimo wszystko klacz musiała jechać dalej. Drgnęła w przestrachu jeszcze kilka razy, po czym uspokoiła się. Wreszcie ustawiliśmy się na linii środkowej i skinęłam głową w ukłonie przed komisją. Skierowałyśmy się w stronę wyjścia. Byłam już ostatnią zawodniczką, więc wystarczyło poczekać pięć minut na wyniki. Poklepałam klacz po szyi i westchnęłam z ulgą. Teraz oddałam jej całe wodze, żeby mogła odpocząć w spokojnym stępie. Omega wyciągnęła długą szyję i zaczęła kłapać wargą. Wyraźnie się rozluźniła. Nagle usłyszałam, że podają już wyniki. Swoje imię usłyszałam ósme...cóż, może Omega nie jest już najsprawniejsza, ale swoje wygrywała. Na zawodach z młodszymi końmi nie ma praktycznie szans. Teraz zostało nam czekać na kolejną dziewczynę, która jeździ na niej w wyższej klasie. Wyciągnęłam jeszcze z kieszeni kostkę cukru i podsunęłam pod pysk Omedze. Schrupała cukier patrząc ufnie w moją stronę, ale nie mogłam dać jej więcej, bo koleżanka musiała jeszcze poćwiczyć przed występem. Opuściłam ujeżdżalnię i pobiegłam do rodziców. Wszyscy mi gratulowali, a ja byłam dumna z siebie i z klaczy, bo wiedziałam, że ósme miejsce na pierwszych zawodach to niezły wynik.

3 maja 2016, niedziela

Wreszcie cały dzień mogłam być u babci, ponieważ rodzice z moją siostrą - Lilianą, pojechali na festyn. Ja byłam zmęczona po zawodach i nie chciałam z nimi jechać. A więc odwieźli mnie do domu babci. Nakazała mi obierać ziemniaki, marchewki i jabłka, a później trzeć te dwa ostatnie na surówkę, kiedy ona gotowała ziemniaki na obiad. Schabowe przygotowałyśmy już wczoraj, dziś wystarczyło je odgrzać. Kiedy wszystko było już gotowe, pobiegłam do niewielkiego salonu. Obok mnie leżała niebieskoszara perska kotka o imieniu Dzesika. Nie była już najmłodsza i z początku miała być moim pupilem, ale przeprowadziliśmy się i nie zabraliśmy jej do nowego domu, w którym już teraz mieszkam ósmy rok. Splątana, długa sierść kotki stanowiła dość dużo problem dla babci, która niemal codziennie musiała ją czesać. Dzesika zawsze ogląda z babcią telewizję siedząc na ulubionym fioletowym kocu, który często wydaje nam się szary, ze względu na zalegającą na nim sierść. Babcia właśnie podała mi na niski stolik talerz i kubeczek kompotu.

- Babciu, wydawało mi się, że byłaś smutna, kiedy przygotowywałyśmy Omegę do przejazdu...

- powiedziałałam odrywając na chwilę wzrok od talerza.

- Byłam po prostu wzruszona. - westchnęła babcia. - Ale przecież to nie były moje pierwsze zawody, a nigdy nie byłaś nimi przejęta w taki sposób.

- Wcześniej o tym nie myślałam. Przypomniało mi się, że dziadek mojego męża był ułanem, tak samo jak najstarszy z jego synów. A kuzynka twojego dziadka nawet brała udział w zawodach, tak jak ty. Poczekaj, mam tu takie bardzo stare zdjęcia... - babcia zaczęła przeszukiwać kartony ze zdjęciami, albumy, pudełeczka i inne zakamarki, gdzie mogło podziąć się zdjęcie. Wreszcie usłyszałam, że schodzi po schodach. Zawołała mnie, więc natychmiast podbiegłam do babci z zaciekawieniem. Białe - czarna fotografia przedstawiała elegancko ubraną młodą damę na jasnym koniu. Bardzo mi się spodobała, ale babcia miała tylko jedną taką fotografię. Szkoda, może dowiedziałabym się czegoś więcej o tej kuzynce dziadka Władka? - Ona jeszcze żyje? - spytałam po chwili wpatrywania się w zdjęcie.

- Tak, jest dużo młodsza od dziadka. - odpowiedziała babcia. Po chwili ciszy zaciekawiło mnie jeszcze, czy może moja rodzina ma z ciocią Iwoną kontakt. Kiedy o to spytałam, babcia zamyśliła się i wyciągnęła z pudełeczka starą portmonetkę. Było w niej wiele karteczek z numerami telefonów. Wreszcie natrafiła na staranny napis 'Iwona Słomińska' i jakiś numer. Babcia wyszła z pokoju po komórkę, zadzwoniła gdzieś i po minucie wróciła.

- Ciocia Iwonka zaprosiła nas na wtorek. - uśmiechnęła się babcia. Ciekawiło mnie to, jak wygląda, czy ma jakąś rodzinę, czy dalej jeździ, a może ma swojego konia? Niedziela mijała w miłej atmosferze.

Wieczorem poszliśmy na pole z psem, którego musiałyśmy wziąć po drodze z mojego domu. Rodziców jeszcze nie było, a klucze miała babcia. Aura zaszczekała, wesoło wdeptując w...żółciutką plamę na podłodze.

- Och, mała... Musimy to posprzątać i powycierać jej łapy, bo cała podłoga pokryje się mokrymi śladami łapek. - babcia pogłaskała szczeniaka za uchem i zajęła się wycieraniem jej łap. Ja posprzątałam podłogę. Po kilkunastu minutach przypięłyśmy suczkę na smycz (obrożę miała na szyi cały czas) i wyruszyłyśmy. Pole było niedaleko. Droga prowadziła prosto do miasta, za ostatnimi drzewami można było zobaczyć centrum handlowe i jakieś sklepy. Szłyśmy dwoma wydeptanymi ścieżkami. Czasami chodzimy bocznymi, zarośniętymi dróżkami. Obok pola znajduje się las. Rzadziej tam jesteśmy, jeździ tam wielu rowerzystów przykuwających uwagę Aury, która lubi za nimi gonić. Z pola również wchodziło się do lasu, ale tamten większy, po lewej stronie był bardziej gęsty. Szczeniaka interesowało wszystko: rzeczka, trawa, polne kwiaty, drzewa i... śmieci. Było gorąco, a Aura ma grube futro (kiedy dorośnie będzie długie i puszyste). Więc dłużej niż pół godziny nie mogliśmy spacerować, bo zasapany pies sam zawracał w stronę domu. Nie doszłyśmy nawet do pierwszych drzew, kiedy sunia pociągnęła mnie w drugą stronę. To oznaczało koniec spaceru. Nalałam na rękę trochę wody z butelki, którą wzięłam z domu i podłożyłam Aurze pod pyszczek. Napiła się i poprowadziłam ją w stronę cienia drzew. Słońce akurat zachodziło, więc cień był jeszcze widoczny. Wróciłyśmy do domu, gdzie już zastałyśmy moich rodziców i siostrę. Pożegnałam się z babcią.

4 kwietnia 2016, poniedziałek

Dziś, niestety, trzeba było wstać o siódmej i przygotować się do wyjścia do szkoły. Mamy siedem lekcji, które zawsze najbardziej dłużą mi się właśnie w te dni - poniedziałki. Nagle przypomniałam sobie o czymś, co zaraz trochę poprawiło mi humor. Przecież dziś idziemy z panem z historii do kozielskiej baszty, aż na dwie godziny. Lepsze to niż lekcje, poza tym tam jest dużo eksponatów i takie niewielkie muzeum. A później pewnie pójdziemy na lody, rok temu też byliśmy. Wyruszyłam do szkoły. Dziś musiałam iść na piechotę, bo tata wcześniej jechał do pracy i zdążył tylko odwiedzić Lilianę na szóstą do świetlicy. Do szkoły miałam około kilometra, ale szło się bardzo szybko, jakieś dziesięć, może piętnaście minut. Po drodze spotkałam wielu kolegów z klasy i szliśmy wszyscy w jednej grupce, rozmawiając na różne tematy. Wszyscy byli jeszcze senni, więc rozmowa co jakiś czas urywała się przez uporczywe ziewanie. W końcu dotarliśmy do szkoły. Weszliśmy do środka, po czym skierowaliśmy się na schody prowadzące na pierwsze piętro. Tam stały nasze szafki. W naszej szkole jest parter i dwa piętra. Na parterze znajduje się świetlica, wyjście na boisko, sala gimnastyczna, biuro oraz klasy najmłodszych uczniów - klas 1-3. Pierwsze piętro zajmował pokój nauczycielski, pokoje wicedyrektorów, sklepik szkolny i oczywiście klasy. Drugie piętro mieściło tylko klasy i bibliotekę szkolną. Nie przebieraliśmy butów, czekaliśmy na pana z historii przed salą numer 16. Wycieczka miała zajmować tylko dwie pierwsze lekcje. Po chwili dołączyło do nas kilku uczniów i wreszcie również nauczyciel. Zostawiliśmy w klasie plecaki i wyszliśmy przed szkołę. Musieliśmy pójść na przystanek autobusowy, w ostatniej chwili załapaliśmy się na odpowiedni autobus. Dwadzieścia sześć osób wsiadło do autobusu. Nie było wiele wolnych miejsc, tylko dwójka kolegów zajęła ostatnie dwa. Na kolejnym przystanku wsiadło kilka starszych pań i koledzy ustąpili im miejsca. Po dwudziestu minutach byliśmy prawie na miejscu. Wystarczyło przejść przez ulicę i kilka kroków dalej znajdował się ceglany budynek Muzeum Ziemi Kozielskiej. Cała klasa wraz z nauczycielem weszła po schodach i ustawiła się przed drzwiami baszty oczekując przewodnika. Po chwili podeszła do nas miło uśmiechająca się pani i przedstawiła się. Podzamecze było bardzo zniszczone, ale dzięki remontom baszta nadal utrzymywała się w dobrym stanie. Pani wprowadziła nas środka i zaczęła opowiadać:

- Ten zabytek to ruiny książęcego zamku, pierwotnie był grodem kasztelańskim. Najstarsze informacje pochodzą z 1104 i 1155 roku. W jego miejscu Piastowie opolscy w 1 połowie XIV wieku zbudowali zamek na planie czworokąta z kwadratową wieżą. Obiekt otoczony został murami obronnymi i fosą. W latach 1558-1562 dawny zamek został gruntownie przebudowany. - przewodniczka pokazywała nam różne eksponaty z dawnych czasów oraz ilustracje z planem budowy zamku i jego dawne zdjęcia.
- Zniszczenia zamku wiązały się z wojną w połowie XVIII wieku. Zachowały się fragmenty

murów obronnych, fundamenty wieży i fragmenty dwóch skrzydeł. - po tych słowach poszliśmy stromymi i krętymi schodkami w górę Baszty. Stamtąd mogliśmy obserwować dziedziniec i zniszczone podzamcze. Ten widok wywołał u mnie żal i smutek, że tak piękny zabytek upada na naszych oczach.

- Przez długie lata na dziedzińcu podzamcza mieścił się plac targowy. Obecnie mury obronne są częściowo odbudowane, a w miejscu dawnej wieży zamkowej wzniesiono stylizowaną wieżę. - słuchaliśmy z zaciekawieniem. To dziwne, że tak głośna klasa potrafiła nawet w całym komplecie zachować ciszę na dość długi czas. Po powrocie pan oświadczył, że jest dumny z naszego zachowania.

5 maja 2016, wtorek

W ten dzień nie poszłam do szkoły, ponieważ miałyśmy jechać z babcią do ciotki Iwony, która - jak się okazało - mieszka w Busku - Zdroju. Jechało się tam około dwóch godzin, więc wyjechałyśmy całkiem z rana. Pogoda nie była najlepsza. Zaczął kapać zimny deszcz, a niebo zasłoniły uporczywie ciemne chmury, które wydawały się ołowiane. Krople deszczu coraz szybciej i głośniej upadały na szybę samochodu babci. Wiatr huczał wrogo, jakby chciał zdmuchnąć nas z drogi. Po jakimś czasie droga zrobiła się monotonna, a moje powieki - ciężkie.

Nagle obudził mnie głos babci. Nie słyszałam, co dokładnie mówiła, ale podniosłam głowę i zobaczyłam, że samochód właśnie zaparkował przed dużych rozmiarów domem. Wyjrzałam przez szybę. Byłyśmy chyba już na miejscu. - No, wstawaj. Śpisz kamiennym snem, ledwo można było cię obudzić! - usłyszałam już wyraźnie słowa babci. Przeciągnęłam się i ziewnęłam. Otworzyłam drzwi samochodu, o mało nie uderzając nimi w drzewo rosnące tuż obok domu. Weszłyśmy przez niską furtkę. Malutki ogórek kwitnął przeróżnym kwieciami, od bzu po tulipany i żonkile. Zapachy mieszały się i można było poczuć wiosenną słodycz kwiatów.

- Witajcie. - usłyszałyśmy kobiecy głos. Na schodach zobaczyłyśmy niską kobietę o ciemnych włosach i brązowych oczach. Przywitałyśmy się z cicią i przedstawiłam się jej. Zostałyśmy zaproszona do środka. Tam ściągnęłyśmy buty, kurtki. Poszłyśmy za cicią do dużego pokoju. Zapachniało swojską szarlotką. Babcia poprosiła kawę, zaś mi cicia zaproponowała kompot z wiśni. Odparłam, że z chęcią napiłabym się kompotu. Po kilku minutach dostałyśmy napoje i cicia usiadła obok nas na fotelu. Kobiety chwilę rozmawiały, po czym ciotka zwróciła się do mnie:

- Z tego co słyszę, to zainteresowały cię stare zdjęcia. Mam ich pełno! Mogę też opowiedzieć ci o koniu, na którym zawsze jeździłam na zawody. - uśmiechnęła się i sięgnęła do szafki po jakąś starą, grubą księgę. Między kilkoma jej cienkimi stronami znajdowało się jakieś białe - czarne zdjęcie. Pierwsze z nich przedstawiało mężczyznę na ciemnym koniu w dziwnej czapce oraz mundurze.

- To jest marszałek Józef Piłsudski. W czasie I wojny światowej był wzorem dla wszystkich Polaków, którzy walczyli o niepodległość Polski. Uwielbiał swoją klacz - Kasztankę. Choć pełnił najwyższe funkcje państwowe, nigdy nie czerpał z tego korzyści. - opowiadała mi ciocia. Miała też kilka innych zdjęć, które podobno były pamiątką rodzinną, kupioną już dawno. Na pozostałych zdjęciach widniała postać innego ułana. Dowiedziałam się, że to mój prapradziadek Michał. Siedział na jaśniejszym i wyższym koniu, ubrany w elegancki mundur. On kochał konie, a później ta pasja przeszła na jego syna, Henryka. Babcia przyglądała się zdjęciom i powiedziała: - Właśnie ta szabla wisi u mnie w gabinecie nad pianinem. Mój mąż dostał ją w spadku po swoim wujku

-

-Tak, to ona potwierdziła ciocia

Iwonka. Jeszcze długo i ciekawie mówiła o dawnych czasach, naszej rodzinie i różnych wydarzeniach.

Wracając z babcią późnym wieczorem, myślałam o zdjęciach, które dziś zobaczyłam. Zastanawiała mnie tylko jedna rzecz... Mama od najmłodszych lat zawoziła mnie do stajni, gdzie patrzyłam, jak uczy się jeździć. Czy pasję do koni zaszczepiła we mnie mama, czy tak naprawdę mam ją po prostu w genach?